

Zamiast przedmowy:

Kazimierz Orzechowski

O dawniejszej dydaktyce na naszym Wydziale – zwłaszcza o egzaminowaniu. Kilka anegdot i wspomnień

Na ogół nie pamięta się już dzisiaj, skąd się wzięło pojęcie *u n i w e r s y t e t*, z którym jako określeniem wyższej uczelni mamy codziennie do czynienia. Wiemy, że zjawilo się jeszcze w Średniowieczu. Myślimy zaś o nim najczęściej jako o skrócie łacińskiego *universitas scientiarum*, jako o ogóle nauk. W rzeczywistości było i jest jednak inaczej.

Średniowiecze, zwłaszcza włoskie, ukuło tu określenie tylko z pozoru tamtemu bliskie, mianowicie *universitas studiosorum* – ogół uczonych, rozumiejąc przez to w równej mierze tych, którzy nauczali, jak tych wszystkich, którzy byli nauczani. Tak rozumiana *universitas* była wówczas – i jest jeszcze do dzisiaj – tym, co potocznie nazywa się akademicką społecznością, społecznością uczonych. Specyficzną tę społeczność tworzy ogół więzi łączących mistrzów z uczniami, więzi czysto osobistych, bardzo trwałych, często niepowtarzalnych.

Wspominam tutaj o rozróżnieniu między *universitas studiosorum* i *universitas scientiarum* nie dla jałowego „sporu o słowa”, lecz właśnie z uwagi na owe osobiste więzi, stanowiące przecież właściwą treść naszego uniwersyteckiego życia. Więzy te mogą być bardzo różne i w różny sposób nawiązywane i nie zamierzam mówić tutaj o nich wszystkich. Chodzi mi tylko o takie spośród nich, które są wprost i bezpośrednio każdoczesną *społecznością uczonych*. Są zaś nimi tylko te, które obejmują w całości, bez wyjątku, obie strony owej „społeczności”, całość profesorskiego grona i wszystkich studentów. Tego rodzaju „całościowe” okoliczności, wiodące do również „całościowych” więzi uniwersyteckiego życia, są w zasadzie tylko dwie. Jedną jest wykład, drugą – egzamin. W procesach rodzenia się więzi, o których tu mowa, właśnie ów drugi rolę odgrywa rozstrzygającą.

W ten sposób doszedłem do spraw wiążących się z egzaminowaniem, które chciałbym tutaj zilustrować garścią anegdot i

moich własnych wspomnień i doświadczeń, głównie wziętych z nie tak
znów dawnej przeszłości naszego macierzystego Wydziału.

*

O wielkim Rudolfie Iheringu, sławnym niemieckim cywiliście, opowiadają, że pewnego dnia wszystkim egzaminowanym studentom zadawał to samo pytanie, mianowicie: jak umiera człowiek? – i wszystkim niezależnie od tego, co mówili, stawiał tę samą notę niedostateczną – *ungenügend*. Zrozpaczeni studenci odważyli się wreszcie zapytać, jaka powinna być właściwa odpowiedź. Ihering odparł wówczas ze zdziwieniem: – Ależ panowie, jesteście przecież prawnikami. Powinniście wiedzieć, że człowiek umiera z testamentem albo bez testamentu.

Z czymś podobnym pośrednio spotkałem się również ja sam. W czasie wojny, po uzyskaniu sowieckiej matury, zacząłem studia na wydziale chemicznym Politechniki Lwowskiej. Fizykę wykładał tam profesor Malarski (podobnie zresztą jak i na Uniwersytecie Jana Kazimierza) i starsi koledzy opowiadali nam, że w czasie egzaminu profesor kazał im biegać dookoła stołu. Wszyscy więc biegali w kółko jakiś czas, gdy jeden z nich nagle zatrzymał się i usiadł przed profesorem. Profesor Malarski kazał wszystkim pozostałym zatrzymać się i zapytał (tego, który przestał), dlaczego nie biegł dalej. Student podobno odpowiedział, że profesor nie określił, w jakim kierunku i z jaką prędkością należało biegać. Malarski kiwnął głową i stwierdził, że tylko ów student myślał jak fizyk i że tylko on jeden zdał egzamin. Reszta, z niedostateczną notą, musiała zgłosić się jeszcze raz. Znam to – jak mówiłem – tylko z opowiadań. Sam nie miałem nawet szansy, by przeżyć z profesorem Malarskim coś takiego. Wnet nadszedł czerwiec 1941 roku.

W obu przykładach mamy ewidentnie do czynienia z zabawą uczonych znudzonych już dydaktyką, z dydaktyką bolesną i właściwie krzywdzącą dla młodzieży. Praktyk takich nie sposób pochwalać. Przytoczyłem je jednak, ponieważ pośrednio wiodą do innego znacznie szerszego zjawiska, bardzo dla studentów niebezpiecznego, zarazem przy tym nieuniknionego i koniecznego, i to szczególnie charakterystycznego dla studiów prawniczych. Zagrożeniem tym jest mianowicie j ę z y k stosowany w tych naukach.

*

Rzecz w tym, że nauki prawne (i ich dydaktyka), podobnie jak inne nauki społeczne, posługują się mową potoczną. Jeszcze ważniejsze jest,

że również ich fachowa terminologia została wzięta wprost z potocznego języka. W tym właśnie kryje się główne niebezpieczeństwo, zwłaszcza dla młodzieży pierwszych lat. Płynne i znaczeniowo bogate słowa mówionego języka zostały przeniesione do języka prawa jako jego ścisła techniczna terminologia. Niejako bez zapowiedzi i niepostrzeżenia zwykle słowa nabrały tu konkretnych i precyzyjnych znaczeń, czasem drastycznie innych niż w potocznej mowie. Młodzi zaś adepci prawniczej wiedzy czasami przez długi czas zupełnie nie zdają sobie z tego sprawy.

Pamiętam sprawę z lat sześćdziesiątych, gdy przyszedł do mnie pewien profesor z nauk ścisłych, by pożalić się na to, co dzieje się na naszym Wydziale. Szło o studenta z pierwszego roku, który już na początku oblał pierwszy egzamin w zimowej sesji, ze względu na wstęp do nauk prawnych – czy jak to wtedy się nazywało. Ów mój kolega było oburzony, uważał, że syn jego został ewidentnie skrzywdzony. Gdy wypytałem go o szczegóły, okazało się, że student był pytany o określone definicje i że wszystkie je podawał „swoimi słowami”. O ile pamiętam, przy tej sposobności utożsamiał też „własność” z „posiadaniem”. Wytlumaczyłem zatem jego ojcu, na czym polegała językowa (czy stylistyczna) pułapka. W rezultacie potem chłopak pięknie studiował i dziś pełni znaczące funkcje w wymiarze sprawiedliwości. Wspomniałem to tutaj z ważnego powodu. Jestem bowiem głęboko przekonany, że egzaminator już w trakcie owego pierwszego uniwersyteckiego egzaminu powinien był zwrócić młodemu człowiekowi uwagę na konieczną ścisłość terminologii w udzielanych odpowiedziach. Student na pewno by wówczas „zaskoczył” i wszystko prawdopodobnie potoczyłoby się dobrze.

*

Jest takie dawne porzekadło, tylko na poły żartobliwe, że uniwersytecki egzamin zaledwie w jednej części jest sprawdzianem wiadomości studenta i że w drugiej – chyba ważniejszej – świadectwem dydaktycznych umiejętności nauczyciela. W każdym żarcie jest ziarno prawdy. Tutaj jest nim fakt, iż egzamin w swojej istocie jest właściwie r o z m o w ą.

Może to również mieć swą stronę humorystyczną. Nic więc dziwnego, że odbiło się też w dawnej wrocławskiej anegdocie. Opowiada się mianowicie o księdzu Michale Wyszyńskim, profesorze prawa rzymskiego (przed wojną profesorze teologicznego wydziału Uniwersytetu Jana Kazimierza), że zadając pytania studentom, od razu

tłumaczył, o co w nich idzie. Pewnego razu, gdy bardzo skwapliwy student co krok starał się coś swego wtrącić, ksiądz profesor napominał go surowo: – Dziecko, nie przeszkadzaj, bo tylko notę sobie obniżysz!

Żart żartem, ale nie mam najmniejszej wątpliwości, że egzaminowanie jest nie tylko czynnością bardzo ważną w trakcie nauczania, może zgoła najważniejszą, ale również bardzo dla egzaminatora trudną. Właśnie dlatego, że koniec końców sprowadza się do wymiany myśli.

*

Przypuszczam, że tak właśnie patrzył na egzaminowanie mój nauczyciel, profesor Seweryn Wysłouch, chociaż nie pamiętam, by kiedykolwiek wprost mówił do mnie o tym. Przekonuje mnie o tym sposób, w jaki stopniowo uczył mnie najpierw oceniania wiadomości kandydatów na studia, potem zaś odpowiedzi na zadawane im pytania, już jako czynnym studentom. Owo „uczenie mnie” działo się właściwie mimochodem, niezauważalnie. Dopiero po latach zacząłem sumować rozrzucone w czasie wspomnienia i fakty, ze sobą je wiązać i wreszcie dostrzegać w nich zamierzony proces. I docenić to wszystko, co tutaj Profesor dla mnie uczynił. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wówczas znalazłem się w kręgu najwyższej profesorskiej dydaktyki – jako jej swoisty „odbiorca”.

Treści i metody owego „egzaminatorskiego nauczania” zdołałem odtworzyć tylko w jeden sposób. Przez przywołanie trzech wspomnień, które tak mocno zapadły mi w świadomość i które później w jakiś sposób stały mi się drogowskazami. W ciągu długich dziesięcioleci mojej uniwersyteckiej pracy niejednen raz rozmawiałem o tym z moimi młodszymi kolegami i uczniami. Mam też nadzieję, że przesłania w nich zawarte do nich dotarły. Tym bardziej, że niestety ja sam nie uprawiałem owej specyficznej dydaktyki w taki sposób, jak to czynił wobec mnie mój Profesor.

Są to, jak powiedziałem, trzy wspomnienia. Pierwsze pochodzi z późnych lat czterdziestych ubiegłego wieku, gdy byłem jeszcze asystentem. Profesor Wysłouch tradycyjnie przewodniczył w rekrutacyjnych komisjach przeprowadzających najpierw pisemny, następnie ustny egzamin z kandydatami na studia. Pamiętam, że pewnego roku wręczył mi kilkanaście pisemnych prac (były one tylko z historii) z poleceniem odznaczenia popełnionych w nich błędów. Oczywiście, nie do

pomyślenia było, bym mógł wystawiać oceny tym pracom, mogłem je tylko proponować. Jedna z tych prac – dotyczyła chyba Sejmu Czteroletniego – bardzo mnie zrytowała, uznałem ją za błędną i mocno ją pokreśliłem.

Sprawdzone w ten sposób prace oddałem Profesorowi, który przeglądał je w mojej obecności, na ogół milcząc i bez komentarza. Tylko nad tą, którą wspomniałem, zatrzymał się dłużej, chyba ze dwa razy odczytywał zakwestionowane przeze mnie ustępy, odchylił się wreszcie na krześle i zapytał: – Dlaczego to pokreśliłeś? Tłumaczyłem, że dlatego, że to źle. A na to Profesor:

– Przecież to, co on pisze, można różnie rozumieć. Czy ty starałeś domyślić się, jak on to rozumie? Jak w ogóle widzi rzecz?

Coś tam próbowałem argumentować, oczywiście bezskutecznie. Profesor skreślił lwią część moich zakreśleń i wykrzykników i pracę pozytywnie ocenił.

To drobne moje niepowodzenie i wnioski z tego dla mnie płynące były początkiem drogi, która miała uczynić ze mnie w przyszłości egzaminatora z historii ustroju i prawa Polski.

Drugie wspomnienie jest z czasów, gdy byłem już adiunktem, z lat pięćdziesiątych. Wtenczas Profesor już często polecał mi asystować mu, gdy egaminował. Oczywiście nie wolno mi było wtrącać się, zresztą nigdy bym się na to nie odważył. Pewnego dnia, gdy ewidentnie spieszył się, wskazał mi trójkę studentów i kazał ich przepytąć. Pytałem ich więc i pytałem, chyba nadmiernie długo, ponieważ nagle Profesor otworzył drzwi sali, w której pytałem, i mnie wywołał.

– Co ich tak długo męczysz?

Ja na to:

– Bo nie wiem, czy to ciągle jeszcze jest „dobrze”, czy już „bardzo dobrze”.

Profesor zaś:

– Aleś ty głupi. Dawaj zaraz te indeksy.

I każdemu z tej trójki wpisał notę bardzo dobrą.

Trzecie wspomnienie jest jeszcze późniejsze. Do gabinetu Profesora weszli czterej studenci. Pierwszy z nich był błąd i najwyraźniej bardzo przerażony. Profesor zaczął od niego. Zapytał go o Trybunał Koronny. I wtedy rozpoczęła się cała historia.

Od razu widać było, że chłopak nie umie. Że nawet nie bardzo wie, o co chodzi. Był błąd jak ściana, pocił się i cały czas w napięciu

wpatrywał się w mojego Profesora, który przez cały czas nie odzywał się ani słowem, tylko słuchał i tylko spokojnie czyścił szklaną „fifkę” i palił.

Student mówił powoli, cały czas z pauzami i przerwami, w sposób okropnie denerwujący. Każde zdanie wypowiadał w trybie przypuszczającym (chyba podkreślając, że nie jest zupełnie pewny) i tylko patrzył, jak mój Profesor zareaguje. Każde zdanie rozpoczynał od „chyba” lub od „no więc”. Ewidentnie aby zyskiwać na czasie, w każdym następnym zdaniu powtarzał treść poprzedniego. A mój Profesor milczał.

Trudno mi literalnie odtworzyć tę scenę sprzed lat kilkudziesięciu. Ale doskonale pamiętam ówczesną atmosferę i prawie namacalne napięcie. Zatem – w mojej pamięci i w bardzo dużym skrócie – wyglądało to mniej więcej tak:

No więc Trybunał Koronny. (Pauza). No więc jeśli to trybunał, to chyba jakiś sąd. Jeżeli to był trybunał, to chyba był to jakiś sąd najwyższy. (Pauza). No więc sąd najwyższy to był chyba króla, ale dlaczego teraz nazywali go „trybunał”? (Pauza. On sam sobie zadawał pytania i na nie, obsesyjnie wpatrując się w Profesora, odpowiadał). No więc to już chyba nie był sąd króla. No więc jaki? (Pauza). No więc to nie był już sąd króla i jeżeli był najwyższy, to chyba ktoś temu królowi takie najwyższe sądownictwo odebrał. (Pauza). No więc jeżeli ktoś temu królowi to sądownictwo najwyższe odebrał (pauza długa), to kto to mógł być? (Pauza). No więc jeżeli był ktoś, kto królowi takie sądownictwo mógł odebrać, to kto to mógł być? (Pauza). No to mogła tylko być szlachta.

Nastąpiła przerwa. Student przestał mówić, zupełnie zamilkł. Wtenczas mój Profesor zapytał, kiedy to wszystko się działo. Chłopak na to, dalej wpatrzony w Profesora: – No więc to chyba gdzieś w XVI wieku.

Na tym przerwał, cały spocony, niemal żółty. Mój Profesor po chwili zaczął pytać pozostałych trzech, przy dalszych pytaniach (z reguły zadawał trzy osobne pytania) ciągle pomijając tego nieszczęsnego studenta. Gdy wszystko to już się skończyło, patrzyłem ponad ramieniem Profesora, gdy wpisywał do indeksów noty. I oczom nie byłem w stanie uwierzyć, widząc, że owemu chłopakowi postawił notę bardzo dobrą.

Gdy już byliśmy sami, dałem upust mojej frustracji:

– Panie Profesorze, przecież on nie umiał! Nie podał ani jednej daty, ani jakiegось konkretnego faktu. Tylko kombinował.

Usłyszałem w odpowiedzi:

– Dobrze to wiem. Ale czyś ty słyszał, jak on wspaniale rozmawiał? Jakie u niego wyczucie ustrojowych dziejów? Jak to wszystko, choć zupełnie pozbawione konkretów, było jednak bezbłędne? I za to dałem mu bardzo dobrze.

Za chwilę Profesor jeszcze dodał:

– Pamiętaj, jeżeli ty, wcale nie denerwując się i nie będąc w strachu, będziesz umiał tak rozmawiać jak on, to będę wiedział, że mam dobrego ucznia.

*

Mówię tutaj o uniwersyteckim egzaminie będącym rozmową. Myślę więc, że dobrze byłoby przytoczyć jeszcze dwie anegdoty, które pośrednio pozwalają poznać, jak na swe egzaminowanie patrzyli dawni wybitni profesorowie naszego Wydziału. Obie one dotyczą naszej cywilistyki. Obie one są z czasów, gdy byłem prorektorem do spraw nauczania. Obie zaistniały na prośbę kolegów z innych wydziałów. Ktoś był w kłopotach, proszono mnie, abym starał się jakoś pomóc. I ja chciałem to uczynić.

Jedno z tych zdarzeń wiąże się z profesorem Józefem Fiemą i z egzaminem z prawa zobowiązań. Ten, kto mnie prosił – z matematyki chyba – zapewniał, że młody człowiek cały kodeks zobowiązań zna na pamięć, ale profesor Fiema ciągle go odsyła i każe mu się wciąż jeszcze douczać. Trochę mnie to zdziwiło, ale poszedłem do profesora, u którego zresztą sam kiedyś zdawałem egzaminy. Był jednak nieugięty. Gdy wspomniałem, że podobno delikwent zna na pamięć cały kodeks, profesor Fiema zirytował się:

– Panie, on kodeks zobowiązań zna lepiej niż ja, i to z każdym przecinkiem!

Nieśmiało zapytałem wtedy:

– No to co robimy?

On gwałtownie zareagował:

– Ale on z tego wszystkiego ani słowa nie rozumie.

Jednakże w jakiś czas potem ów delikwent koniec końców zdał. Zapewne przy kolejnym egzaminie–rozmowie profesor dostrzegł, że coś jednak młody człowiek już rozumiał.

Historia powtórzyła się w jakiś sposób z profesorem Janem Gwiazdomorskim, wybitnym cywilistą. Jakiś chłopak musiał powtarzać rok, z którego między innymi miał zdany egzamin z prawa rodzinnego u profesora Gwiazdomorskiego, z notą dostateczną. Ponieważ zasadą było,

iż bardzo dobre i dobre stopnie dziekan z urzędu zalicza studentom, egzaminy zaś zdane dostatecznie muszą być powtórzone, zwrócono się do mnie zapytaniem, czy sam egzaminator nie mógłby tutaj czegoś ułatwić studentowi–repetentowi.

Nigdy nie umiałem odmówić takim prośbom, więc poszedłem do profesora Gwiazdomorskiego i przedstawiłem sprawę. Ten, znany z nieowijania rzeczy w bawełnę i z pewnego rodzaju surowości w sposobie bycia, zupełnie mnie zaskoczył:

– Gdzie jest ten indeks?

Raczej speszony wyjaśniłem, że nawet nie miałem go w ręce i że przyszedłem tylko z odpowiednim zapytaniem. Na to Gwiazdomorski, patrząc mi w oczy poważnie, powiedział coś, co głęboko zapadło mi w pamięć:

– Panie kolego, szacunku sam dla siebie bym nie miał, gdybym, raz uznawszy, że student zna przedmiot dostatecznie, to znaczy „wystarczająco”, o ś m i e l i ł się pytać go jeszcze raz. Niech student po prostu zgłosi się do mnie. Nie musi się na nikogo powoływać.

Tacy byli dawni nasi profesorowie.

*

Przytoczyłem tutaj garść moich osobistych wspomnień i kilka anegdot, które wszystkie w taki czy inny sposób dotyczyły egzaminów, ongiś zawsze składanych ustnie. Czas zatem, abym wyznał, iż uczyniłem to jedynie po to, by jako swoiste powyższego ukoronowanie przytoczyć jeszcze na koniec tylko jeden fakt. Niestety, zaledwie już tylko bardzo nielicznym będę mógł p r z y p o m n i e ć to zdarzenie. Wszystkim innym Kolegom i Przyjaciółom natomiast chcę i mogę tylko p r z e k a z a ć i powierzyć ich pamięci. Nie o ów fakt zresztą tutaj idzie, ale o zawarte w nim przesłanie, które oby na naszym Wydziale było „arką przymierza między nowymi i dawnymi laty”.

Mam tu mianowicie na myśli chwilę, gdy na emeryturę przechodził profesor Tadeusz Bigo, uczony ogromnej wiedzy, człowiek wyjątkowej dobroci przebijającej z jego bładoniebieskich oczu, człowiek, którego wszyscy kochaliśmy. Przy tej okazji w sali Senatu odbyło się pożegnalne spotkanie, raczej nietłumne. Stosunkowo jeszcze wówczas młody profesor, miałem ten zaszczyt i honor uczestniczyć w tej uroczystości. Wtenczas też usłyszałem prośby – niemal zakłęcia – z którymi stary profesor zwrócił się do nas. I które w mej pamięci będę nosił aż do śmierci.

Profesor Tadeusz Bigo powiedział wtedy do nas:

– Chcę was prosić tylko o dwie, ale bardzo ważne rzeczy. Pierwszą jest, abyście nigdy nie denerwowali się w trakcie egzaminu, niezależnie od tego, co student powiedziałby czy jak by się zachował.

Drugą jest, abyście nigdy nie szczędzili czasu na egzamin, abyście nigdy nie spieszili się, egzaminując.

Egzamin bowiem w każdym przypadku jest jedyną sposobnością w życiu, dzięki której wy możecie poznać sposób myślenia studenta, student zaś może zapoznać się ze sposobem, w jaki wy sami patrzycie na odpowiedni problem.